

WYRÓŻNIENIE

Joanna Koniarek

STARA FOTOGRAFIA

Przeszła przez ulicę w miejscu, w którym ponad dwadzieścia lat temu podjechał do niej patrol milicji. Starszy z dwóch siedzących w aucie funkcjonariuszy udzielił jej pouczenia za „przechodzenie przez jezdnię w miejscu niedozwolonym”. Miała wtedy czternaście lat i sam fakt, że ktoś zażądał od niej legitymacji był dla niej prawdziwym upokorzeniem. Teraz, po wielu latach, większość mieszkańców miasteczka nadal łamała prawo przedostając się na ryneček kilkanaście metrów od mało widocznego zakrętu, za to zupełnie ignorując starannie wymalowane przejście dla pieszych, oddalone zaledwie parę metrów od tego „nieoficjalnego”. Ewa mimowolnie uśmiechnęła się na samo wspomnienie tego wydarzenia. Pamięć o tych wszystkich nieistotnych z pozoru szczegółach pozwalała jej utrzymać się na powierzchni, nie dać się wciągnąć w pustkę, która zapanowała w jej życiu.

Idąc tą zapomnianą przez siebie drogą czuła się wyjątkowo dobrze. Nie świetnie, ale dobrze, co w świetle ostatnich wydarzeń, które wyróciły jej życie do góry nogami, było niemałym sukcesem. Depresja, która dopadła ją po tym, jak przyłapała swojego męża na zdradzie w czasie, kiedy leżała w szpitalu tuż po poronieniu, zaczęła odpuszczać dopiero po ośmiu miesiącach leczenia. Swoją drogą nigdy wcześniej nie pomyślała, że zwykły telefon, którego nie wyłączono na czas, może tak odmienić czyjeś życie. Pamiętała doskonale, jak zadzwoniła do Michała, że jest w szpitalu i to, jak bardzo pragnęła, żeby był przy niej, żeby dzielił z nią żalobę i smutek. Pamiętała też, jak powiedział, że nie może, bo wszyscy czekają na jego referat. A ona trzymała komórkę przy uchu i czuła, jak łzy zalewają jej twarz. Nagle zdała sobie sprawę, że nie wyłączyła telefonu. Nie tylko ona...Słuchała jak w transie dochodzących z niej odgłosów. Piekielnie banalne zakończenie związku, równie dobrze mogła wrócić wcześniej do domu i zastać ich w swojej sypialni, albo znaleźć ślady szminki na jego koszuli. Nawet zdradzając był przewidywalny, nie pozwalał sobie na spontaniczność, improwizację. Oczywiście potem padły słowa „to nie tak, jak myślisz” i tym podobne wytarte frazesy, jednak szybko zorientował się, że ona nie pogodzi się z jego zdradą, więc dostała rozwód na swoich warunkach. Zostawiła mu dom, ale samochód i wszystkie, niemałe zresztą,

oszczędności przypadły jej. Zresztą tak samo jak ta cholerna depresja, z którą zmagala się nawet po powrocie do rodzinnego miasteczka, gdzie po śmierci rodziców odziedziczyła mieszkanie. Teraz wracała do równowagi, jednak nie mogła zdobyć się na podjęcie pracy. W czasie choroby narastał w niej lęk przed kontaktem z obcymi ludźmi, co jej psychoterapeuta tłumaczył zawodem, jakiego doświadczyła w małżeństwie. Ta wycieczka na rynek miała być ćwiczeniem zaleconym przez terapeutę. Prawdę mówiąc miała zamiar przemknąć się niepostrzeżenie pomiędzy straganami, a marchewkę, którą Piotr kazał jej tam kupić, załadować do woreczka w markecie, w którym nie trzeba było celebrować wymiany towaru na pieniądź, informując się nawzajem o wszystkich plagach i radościach minionego tygodnia.

Wkroczyła na targ pewnym krokiem, przynajmniej tak jej się zdawało. Po przejściu kilkunastu metrów zdała sobie sprawę, że atmosfera „swojskości”, którą pamiętała sprzed lat, minęła. Ludzie rzadko przystawali, żeby porozmawiać, głównie mijali się, spiesząc się do tylko sobie znanych miejsc. Nieco ośmielona tą namiastką prywatności, zaczęła przyglądać się stoiskom, gdy nagle jej wzrok przykuła grupka rozbawionych ludzi. Właściwie powinna się wycofać, ale zaintrygowały ją przedmioty leżące na rozłożonych płachtach na ziemi. Było tam wszystko, począwszy od starych zabawek, aż do potrzebujących renowacji rowerów. Stojąc przez jakiś czas i obserwując miejsce i ludzi, zorientowała się, że klienci dobrze znali właścicielkę straganu. Ona wyszukiwała z pozoru przypadkowe starocie konkretnym osobom, nawet nie pytając, czego szukają, zupełnie jakby czytała w ich myślach. Ewa zbliżyła się, wbrew sobie zafascynowana tą rodzinną atmosferą. Nagle poczuła na sobie czujny wzrok właścicielki stoiska

- Nie widziałam ciebie tutaj. Szukasz czegoś konkretnego, czy tylko chcesz się przyjrzeć? - spytała swobodnym tonem.

- Ja tylko...Właściwie nie wiem, przyszłam po marchewkę i... - Ewa poczuła, że się rumieni. Co za bzdury wygadywała! Zachowywała się zupełnie tak jak wtedy, gdy zatrzymała ją milicja, młoda, zagubiona dziewczyna, dla której całym światem był dom i książki.

- Ty niczego nie szukasz - powiedziała nagle kobieta i zniknęła w wozie. Pojawiła się po chwili, niosąc w rękach kilka ramek ze starymi fotografiami. - Znam takich jak ty, nie potrzebujesz używanej doniczki. Czasami mam rzeczy, które mają duszę, stare pozytywki, książki, nawet miałam kiedyś pamiętnik z czasów wojny. Teraz nic takiego nie znalazłam, ale mam zdjęcia. Rzadko je wyciągam, bo kto chce płacić za nieswoje fotki? Jest tu taki jeden, co przychodzi i zawsze coś znajdzie, ale nie ma go już drugi tydzień, więc pewnie nie pogniewa

się, jak sobie je obejrzyś. On mówi, że widzi w nich historię tych wszystkich ludzi, że niektóre z nich mogą zmienić komuś życie.- Kobieta zaśmiała się rehotliwie, ale nagle umilkła i dodała- Może ma i rację, ale ja w nich widzę tylko czasy, których nie znam. Często złe czasy...

Ewa zaczęła oglądać zdjęcia oprawione w zniszczone ramki. Były to głównie fotografie rodzinne i już miała je odłożyć, gdy wzrok jej przykuło ostatnie zdjęcie. Było w fatalnym stanie, szybka popękała w wielu miejscach, ale to nie przeszkodziło jej rozpoznać domu widocznego na zdjęciu. Tak, to bez wątpienia był dworek, w którym wychowała się jej babcia i mama. Jeździła tam na wakacje do ukończenia podstawówki, a potem został sprzedany. Na ustawionych przed domem krzesłach siedzieli prawdopodobnie jej pradiadkowie. Zmrużyła oczy i delikatnie przetarła szkło. Tak, to na pewno byli oni. Na każdym z niewielu zdjęć, które posiadała babcia, wyglądali tak samo – ona dumnie wyprostowana, on lekko zgarbiony, pozostający w jej cieniu. Zmarł, kiedy nie było jej jeszcze na świecie, ale słuchając wspomnień mamy i babci była przekonana, że musiał być bardzo nieszczęśliwy. Na zdjęciu trzymał maleńkie zawiniątko z dzieckiem, a obok prababki stała szczupła, może dziesięcioletnia dziewczynka. Z tyłu znalazła napis „Lipce, 1943”. Szybko obliczyła, że starszym dzieckiem mogła być jej babcia Stefcia, ale kim było maleństwo, na które tak czule patrzył pradziadek? Babcia była jedynaczką i nikt nigdy nie wspominał o żadnym rodzeństwie. Ewa bez namysłu zapłaciła za fotografię i odprowadzona czujnym okiem właścicielki straganu pomknęła do domu.

Następnego dnia pojechała do babci. Nie czekając na zaproszenie niemal wdarła się do jej mieszkania, wywołując na jej twarzy grymas zdziwienia, lub raczej niezadowolenia.

- Babciu, kto jest na tym zdjęciu? - zapytała bez większych wstępów.

Babcia początkowo niechętnie wzięła fotografię, po chwili jednak jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Skąd to masz? Myślałam, że spłonęło w 1948, w pożarze. To jedyna pamiątka po Marianne.

- Kim ona była? Dlaczego nic o niej nie wiem? - Ewa nie kryła zniecierpliwienia.

- Nie denerwuj się, to prostsze, niż ci się wydaje. Marianka, właściwie nie znam jej prawdziwego imienia, była żydowskim dzieckiem, które moi rodzice ocalili w czasie wojny. Bardzo ją kochałam, traktowałam jak siostrę. Mama z jakichś nieznanych mi przyczyn nie lubiła jej, za to tata ją uwielbiał! Gdy w 1948 wybuchł pożar, musieliśmy przenieść się do stryja na jakiś czas. Tam było mało miejsca i pewnego wieczoru tata zabrał Mariankę i zawiózł ją do jakiejś rodziny, którą mama znalazła za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Tata bardzo posmutniał, a ja w końcu przestałam się o nią pytać.

- Nie szukałaś jej potem? Nic nie zrobiłaś, żeby ją odnaleźć? - zdziwiła się Ewa.

- Wiesz, kiedy dorosłam, zastanawiałam się, jak to właściwie było, że nie znaleźli tej rodziny wcześniej, rodzice jednak nie chcieli ze mną na ten temat rozmawiać. - babcia nagle zamilkła i dodała po chwili - Wiesz, zdaje mi się, że oni raz wymienili nazwę Krajenka.

Była zdziwiona, jak łatwo udało jej się zdobyć stary adres Marianny. Nie miała szans na odnalezienie aktu urodzenia, więc postawiła na akt ślubu. Zadzwoiła do urzędu stanu cywilnego w Krajence, gdzie dowiedziała się, że taka osoba wzięła ślub kościelny w roku 1964 z jakimś Jędrzejem Markowskim. Skąd wiedzieli? Prowadzili taki rejestr do końca lat siedemdziesiątych specjalnie dla tych, którzy nie mogli odnaleźć swoich krewnych po wojnie. Po chwili radość towarzysząca sukcesowi poszukiwań ustąpiła miejsca zdziwieniu – ślub kościelny? Przecież była Żydówką... Młoda para, według księgi meldunkowej, zamieszkała w kamienicy przy ulicy Młyńskiej.

Ewa postanowiła wyjechać wcześniej, zanim w drogę do pracy wyruszą zniecierpliwieni mieszkańcy miasteczka. Nie lubiła tłoku na szosie, w przeciwieństwie do Michała, który twierdził, że taki chaos budzi go do działania, dzięki czemu staje się bardziej wydajny w pracy. Zresztą nie tylko w pracy, pomyślała z przekąsem. Po niespełna dwóch godzinach odnalazła dom, w którym przed laty zamieszkała Marianna z mężem. Niestety, obecni lokatorzy kupili mieszkanie od kogoś zupełnie innego. Po chwili jednak przypomnieli sobie, że syn ich poprzedników ma księgarnię na rynku. Może on coś wie?...

To była jedyna księgarnia w centrum, więc Ewa bez trudu tam dotarła. Właściciel okazał się być słabo zorientowany w temacie historii domu swoich rodziców.

- Wie pani, oni to mieszkanie tak jakoś dziwnie szybko dostali, a wtedy długo czekało się na lokal. To wszystko, co pamiętam. – wzruszył ramionami.

- A czy pana rodzice żyją? -zapytała z nadzieją w głosie.

-Tylko mama. Mieszka z moją siostrą, ale będę z panią szczery, ona jest ciężko chora i nie sposób się z nią dogadać. No i męczyć jej siostra nie pozwoli. - dodał ostrzegawczym tonem.

- Zadam jej tylko kilka pytań. To dla mnie bardzo ważne...

-Mam nadzieję, że nie pożałuję tego...- mruknął zapisując adres siostry na kartce.

- Doprawdy nie wiem, w czym moja mama może okazać się pani pomocna. To stare dzieje, wszystko się jej miesza. - siostra właściciela księgarni próbowała zniechęcić Ewę do rozmowy ze swoją matką, ale widząc desperację w jej oczach, westchnęła – No dobrze.

Ewa weszła do niewielkiego pokoju, w którym zapach charakterystyczny dla starości wspomaganey ziołowymi lekarsztwami mieszał się z zapachem tulipanów stojących w wazonie na stoliku nocnym. Starsza pani siedziała nieruchomo na fotelu przy oknie, jednak na widok gościa z pewnym zażenowaniem poprawiła nieistniejącą niedoskonałość fryzury, jakby wstydząc się stanu przemijania, na który przecież nie miała żadnego wpływu. Ewa zauważyła pewną niewymuszoną elegancję w jej ruchach, gdy poprosiła ją gestem, aby usiadła. - Od jakiegoś czasu próbuję znaleźć informacje na temat Marianny Markowskiej, która mieszkała na Młyńskiej zanim pani się tam wprowadziła. - wyjaśniła bez większych wstępów. Kobieta patrzyła na nią badawczo i Ewa mogłaby przysiąc, że w jej oczach dojrzała cień strachu. Po chwili jednak odwróciła wzrok w stronę okna i rzuciła: - Niech pani da spokój, to było dawno temu. Po co to komu, to grzebanie w przeszłości? - nagle spojrzała na Ewę - Mam ponad osiemdziesiąt lat, niewiele pamiętam. Dostaliśmy mieszkanie, wychowaliśmy w nim dzieci i to koniec historii. Przepraszam, ale jestem zmęczona, muszę się położyć. - poruszyła się nerwowo w fotelu i był to wyraźny znak dla Ewy, aby skończyć wizytę. Wychodząc, zostawiła swój numer telefonu na wypadek, gdyby starsza pani coś sobie przypomniała, ale wiedziała, że raczej nie ma na co liczyć.

Po powrocie do domu usiadła na łóżku w sypialni, która przez lata dzieciństwa i młodości była jej azylem, miejscem, gdzie pieczołowicie gromadziła żniwa swoich pasji – książki, filmy, plakaty, obrazy, które sama namalowała zanim zrozumiała, że malowanie nie stanowi sensu jej życia. W liceum plastycznym czuła się zwyczajnie nie na miejscu, jakby założyła na siebie ubranie, w którym wprowadzie dobrze wyglądała, ale w którym źle się czuła. Potem jednak, gdy już pracowała jako recenzentka dla gazety, skrzętnie korzystała ze zdobytej wcześniej wiedzy i naturalnego wyczucia barw i harmonii kształtów. Kiedy odkryła zdrady Michała, wyrzucała sobie tę swoją artystyczną swobodę interpretacji, która według niej nie pozwalała prawidłowo odczytać pewnych znaków świadczących o jego niewierności. Teraz jednak intuicja podpowiadała jej, że dawno temu wydarzyło się coś, co miało pośredni wpływ na jej życie i ona musi to wyjaśnić. Wzięła do ręki stare zdjęcie przyniesione z targu. Wiele rodzin ratowało żydowskie dzieci w czasie wojny, niby nie było w tym nic dziwnego, a jednak coś tu się nie zgadzało... Marianna przeżyła z nimi kilka lat swojego życia, skąd więc ten brak zainteresowania jej losem?

Następne dwa dni nie przyniosły nic nowego. Miała właśnie zadzwonić do swojego terapeuty, aby przeprosić za nieobecność na ostatnim spotkaniu, gdy na wyświetlaczu telefonu pokazał się nieznaną numer. Zaintrygowana odebrała połączenie.

- Ewa Dalecka, słucham?

- Dzień dobry. Tu Helena Sawicka, była pani u nas niedawno. W sprawie lokatorów mieszkania na Młyńskiej. Proszę jutro przyjechać. – usłyszała zaniepokojony głos.

Ranek był rześki, tak jak lubiła. Po chłodnej kwietniowej nocy wstawał słoneczny dzień, zapowiedź zbliżającego się lata, jej ulubionej pory roku. Odkąd pamięta największą radość sprawiała jej nie celebrowanie przyjemności, ale samo oczekiwanie na nią.

O dziewiątej zapukała do mieszkania Sawickich.

- Niech pani wejdzie.- w głosie pani Heleny było słychać zaniepokojenie.- Martwię się o mamę, prawie nic nie je od czasu pani wizyty. Coś ją trapi, jakieś wspomnienie.

Po chwili Ewa przekonała się, że Sawicka miała rację.

- To były ciężkie czasy, musisz zrozumieć. - starsza pani zaczęła swoją opowieść bez większych wstępów - Mieliliśmy dwójkę dzieci i mieszkaliśmy kątem u moich teściów. Nie mogłam się z nimi dogadać, byli hardymi, zaprawionymi przez wojnę ludźmi. Czekaliśmy na lokal z przydziału, byliśmy drudzy w kolejce. Koleżanka, która pracowała w urzędzie powiedziała mi, że na razie nie mamy szans, nie to, co ci przed nami. Bezdzietni, ale on musi mieć jakieś koneksje w powiecie, bo naczelnik przyjmuje go zawsze osobiście, no i dostali piękne dwupokojowe mieszkanie. Widziała, że jestem załamana i chyba próbowała mnie pocieszyć, bo zdradziła mi, że matka tamtej kobiety żyła w czasie wojny z oficerem niemieckim zajmującym się transportami do obozów i w gruncie rzeczy nie ma co jej zazdrościć takiego pokrewieństwa. Byłam chora z wściekłości i bezsilności. Nikogo ważnego nie znałam, więc w perspektywie miałam kolejne lata z rodzicami męża. Nie wiem co właściwie chciałam osiągnąć opowiadając w domu to, co usłyszałam od koleżanki. Moja teściowa uwielbiała takie historie, taplała się w cudzych dramatach jak kaczką w wodzie. Wiedziałam, że po dwóch dniach całe miasto będzie żyło tą sensacją. Potem wszystko wymknęło się spod kontroli. Ludzie początkowo szeptali na widok młodych Markowskich, potem zaczęli ją zaczepiać w kolejkach, na ulicy. Dzieciaki biegały za nią i rzucały wyzwiskami. Ktoś wysmarował drzwi do ich domu czerwoną farbą. Potem na murze kamienicy pojawił się napis „Faszystowski bachor”. Młodzi wyjechali wkrótce po tym zdarzeniu, my dostaliśmy ich mieszkanie, ale nie potrafiłam się z niego cieszyć. Przynajmniej

nie wtedy... Nikt nie wiązał mnie bezpośrednio z całą tą sprawą, ludzie w końcu umilkli, dość szybko zresztą, jakby nie do końca mieli czyste sumienie.

- Czy wie pani, dokąd się wyprowadzili? - cicho zapytała Ewa.

- Nie jestem pewna, ale on miał rodzinę w Poznaniu, tak ludzie mówili. Ale podobno się rozwiedli wkrótce po wyjeździe. - po raz pierwszy, odkąd zaczęła Ewie wszystko opowiadać, spojrzała jej prosto w oczy. - Wiem, co o mnie myślisz, ale muszę ci powiedzieć, że czasy, w których żyłam, często pozbawiały nas zwykłych ludzkich odruchów, wyzwalały prymitywne instynkty. Nie jestem z tego dumna, ale inaczej nie potrafiłam zadbać o swoją rodzinę.

W pokoju zapanowała zupełna cisza. Ewa po chwili podniosła się i skierowała w stronę drzwi. Wracając do domu analizowała to, co usłyszała. Markowski prawdopodobnie nie wytrzymał presji społecznej i zostawił Mariannę samą z jej upokorzeniem. Tylko skąd ma wziąć informacje na temat ich kolejnego miejsca zamieszkania? Postanowiła jeszcze raz porozmawiać z babcią, może ona podsunie jej jakiś pomysł?

- No dobrze, muszę jednak coś tobie powiedzieć. - westchnęła babcia, gdy Ewa skończyła relacjonować swoją wizytę u Sawickich. - Ona tu przyjechała wtedy ze swoim mężem. Ja już mieszkałam gdzie indziej, z dziadkiem i twoją mamą. Ojciec dostał wtedy zawału. Byłam zrozpaczona, kiedy zmarł. Przez chwilę nawet obwiniłam matkę o jego śmierć. Po pogrzebie pokłóciłam się z nią i wtedy usłyszałam, że była tu Marianna, i że to przez nią odszedł. Mama spokojnie opowiedziała mi, jak tata postanowił przygarnąć dziecko faszysty i jego polskiej kochanki, swojej przyjaciółki z lat dzieciństwa. Oczywiście była temu przeciwna, ale on był stanowczy. Podejrzewam, że był to pierwszy i ostatni raz, kiedy się jej postawił.

- Nie chciałaś się z nią spotkać? Przecież musiała być zdruzgotana po tych wszystkich wydarzeniach w Krajence. - zapytała zdziwiona Ewa.

- Oczywiście, że chciałam, ale matka zrzuciła na nią całą odpowiedzialność za śmierć taty. Podobno wyjechała za granicę i zakazała nam jakichkolwiek kontaktów ze sobą. Nawet nie przyjechała na pogrzeb, a przecież tyle nam zawdzięczała. Staralam się więc o niej zapomnieć. - Babcia wyszła na chwilę. Gdy wróciła, niosła poźółką pocztówkę.

- Kiedy twoja prababcia zmarła, znalazłam to w jej rzeczach. - podała Ewie widokówkę ze zdjęciem gór i napisem „Chamonix”. Z tyłu Marianna starannie wykaligrowała pozdrowienia z Francji i podała swój nowy adres.

- Wysłała to trzy lata po śmierci ojca, a kartka jest zaadresowana do obojga. Ona zwyczajnie o tym nie wiedziała, dlatego nie było jej na pogrzebie. - dodała ze smutkiem w głosie.

- Dlaczego do niej nie napisałaś? - Ewa powoli traciła cierpliwość. Cała ta historia zupełnie nie pasowała do jej najbliższych. - Pewnie byliście dla niej całym światem, a potem ktoś ją oddał jak zabawkę, którą się znudzono.

- Ewciu, wszyscy popełniamy błędy. Nie miałam pojęcia o tym, co wydarzyło się w Krajence. Kiedy dowiedziałam się od matki o pochodzeniu Marianny, byłam w szoku. Jako dziecko wierzyłam, że była małą Żydówką, a moi rodzice bohaterami. Razem z twoją prababcią podjęliśmy decyzję, że nigdy więcej o tym nie będziemy rozmawiać. Teraz myślę, że było to bardziej wygodne niż słuszne, ale cóż... - babcia westchnęła ciężko.

- Czy mogę zachować pocztówkę? - Ewa podniosła się do wyjścia. Potrzebowała odpowiedzi na swoje pytania, potrzebowała domknięcia, aby jej życie miało sens. Nie mogła zostawić przeszłości w zawieszeniu, jeśli chciała zacząć wszystko od nowa.

Gdy wyszła z lotniska w Genewie, skierowała się do wypożyczalni samochodów. Po załatwieniu niezbędnych formalności wsiadła do auta i wyjechała w stronę autostrady. Do Chamonix dotarła o zmierzchu. Bez trudu znalazła pensjonat, w którym wcześniej zarezerwowała pokój. Zjadła późną kolację, wypila lampkę czerwonego wina i wyszła na spacer po okolicy. W torebce miała pocztówkę z adresem, ale nie musiała jej wyjmować. Doskonale pamiętała nazwę ulicy i numer domu. Szukając pensjonatu zwracała uwagę na to, aby był w okolicy Les Praz, tam gdzie prawie pół wieku temu zamieszkała Marianna.

Wiosna jeszcze nie zazieleniła tu drzew, cieplejsze pory roku docierały do położonych wysoko w górach miejscowości z opóźnieniem, odchodziły za to wyjątkowo szybko, ustępując miejsca ponurym słotom przechodzącym powoli w surowa zimę. Po chwili niezbyt szybkiego marszu stanęła przed niewielkim, zadbanym domem. Wiedzioną nagłym impulsem zapukała do drzwi, nie bacząc na późną porę. Po chwili ujrzała młodego mężczyznę, który patrzył na nią z uprzejmym zainteresowaniem.

- Oui? - zapytał zachęcającym tonem.

- Bonjour. - odezwała się Ewa, nagle skrępowana całą tą sytuacją. Co ona tu robi? Już miała się wycofać, gdy do drzwi podeszła starsza kobieta i z zaciekawieniem spytała po polsku:

- Pawełku, kim jest ta pani?

- Dzień dobry, nazywam się Ewa Dalecka. - odezwała się szybko, wykorzystując dogodny moment. - Szukam Marianny Markowskiej, z domu Bajurko. Zamieszkała tu ponad ...

- Teraz nazywam się Guerin. - przerwała uśmiechając się zyczliwie. - Proszę wejść. Napije się pani herbaty?

Była czwarta nad ranem, kiedy Ewa po raz kolejny czytała list, który jej prababcia wysłała Mariannie w sierpniu 1998 roku, trzy miesiące przed swoją śmiercią.

Droga Marianno.

Ten list jest dla mnie próbą odkupienia moich win, bo bardzo zgrzeszyłam wobec Ciebie. Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale postaram się napisać całą prawdę, od samego początku. Gdy byłam młodą dziewczyną, miałam narzeczonego. Bardzo go kochałam, był całym moim życiem. Mielśmy się pobrać, niestety on zginął tuż przed ślubem. Wtedy świat się dla mnie skończył. Zmieniłam się. Z wesołej, życzliwej dziewczyny przeistoczyłam się w zgorzkniałą, złośliwą kobietę. Gdy poznałam Jana, on coś we mnie zobaczył, do dzisiaj nie wiem co... Wysłałam za niego dla pewnego porządku rzeczy – trzeba było w końcu opuścić rodziców, dla których niezamężna córka w wieku dwudziestu trzech lat była w tamtych czasach powodem do wstydu na wsi. Postawiłam sprawę jasno, żadnych uczuć, czysta kalkulacja. Nawet moje powinności intymne ustały zaraz po urodzeniu Stefci. Próbował dość długo zbliżyć się do mnie, ja jednak zbudowałam mur nie do zburzenia. Dałam mu do zrozumienia, że ja swoją miłość już przeżyłam, a to, co on robi mnie nie obchodzi, byle ludzie nie gadali. W końcu zakochał się w Twojej matce. Początkowo nie zwracałam na to uwagi, ale po pewnym czasie zaczęły mnie drażnić ta jego zmiana w sposobie bycia, radość w oczach, wyglancowane buty. Nie wiem do dzisiaj czy byłam zazdrosna o niego, czy o uczucie, którego mnie tak okrutnie pozbawiono. Maria, Twoja matka, była piękną kobietą. Mężczyźni się za nią uganiali, mogła przebierać w nich jak w ulęgalkach. Ale wybrała właśnie Jana. Był też taki jeden Niemiec, oficer. Kochał się w niej bez pamięci. Całe miasteczko o tym szumiało, ludzie krzywo na to patrzeli, ona trzymała go na dystans. Odrzucić całkiem nie mogła ze strachu, bo wojna była. Kiedyś zapytałam złośliwie Jana jaka ona jest. Nie spodziewałam się szczerzej odpowiedzi, uczucie chyba stępiło jego umiejętność odróżniania zwykłej ciekawości od ironii. Powiedział, że najbardziej ceni w niej odwagę. Zdradził, że od kilku miesięcy ukrywa w piwnicy domu rodzinę Żydowską. (Stąd pomysł, aby tak potem tłumaczyć Twoją obecność w naszym domu.) Byłam szokowana, ale nie odwagą, ale jej głupotą. Kiedy dowiedziałam się od Jana, że Maria jest w ciąży, wiedziałam, że jak tylko znajdą okazję, odejdą, a ja zostanę sama. Początkowo nie wiedziałam, co robić. Gdy już urodziła Ciebie, powiedziałam komu trzeba, że Maria ukrywa żydowską rodzinę. Ale nie doniosłam oficjalnie, tylko takiemu jednemu, który stale sprzedawał folksdojczom różne informacje. Zabrali ją razem z rodziną, którą ukrywała i wywieźli do obozu. Kilka dni później, nocą, przyszedł ten Niemiecki oficer, z którym ją widywano. Przyniósł dziecko, Ciebie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, w jaki sposób zdołał wyrwać Cię z transportu. Bałam się, że ktoś, a w szczególności Twój ojciec odkryje, że to ja

stałam za tym wszystkim, więc w końcu zgodziłam się przyjąć Cię pod swój dach. Wkrótce zamieszkaliśmy w Lipcach, gdzie byłeś z nami do pożaru. Nie mogłam znieść Twojej obecności, tego, że byłeś taka ładna, jak matka i tego, że Jan i Stefcia po prostu szaleli na Twoim punkcie. Wykorzystałam pożar do tego, aby się Ciebie pozbyć. Znalazłam Twoich krewnych w Krajence, Twojemu ojcu wmówiłam, że będziesz tam szczęśliwa, bo byli bogaci i nie mieli swoich dzieci. Zmienił się nie do poznania, ale mi to nawet odpowiadało – nie umiałam żyć pełnią życia, więc wolałam, aby mój mąż dzielił ze mną ból straty. Stefcia powiedziała, że umarł przez Ciebie, ale to nie prawda. Umarł, bo ja zabrałam mu wszystko, na czym mu zależało. Wypowiadałam się przed Bogiem, musiałam jeszcze przed Tobą. Proszę Cię o wybaczenie, ale zrozumieć, jeśli nie odpowiesz na mój list.

Eleonora Bajurko

Ewa starannie złożyła pozólką kartkę i położyła się do łóżka z poczuciem spełnionego obowiązku. Po raz pierwszy od wielu tygodni spała nieprzerwanie przez dwanaście godzin, nadrabiając nieprzespane noce.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze trzy godziny, dwie zabierze jej droga na lotnisko, więc została jej cała godzina, żeby poszperać w starociach na targu. Nagle zadzwonił telefon. Gdy odebrała, uśmiechnęła się ciepło i po chwili odpowiedziała do słuchawki „Nie babciu, nie musisz robić kolejnej sałatki. I tak przygotowałaś tyle jedzenia, że wyżywiłabyś jeden rocznik wygłodniałych studentów”. Po chwili dodała „Nie bój się, nie spóźnię się. Marianna ląduje dopiero za trzy godziny. Babciu, zaparz sobie melisę, proszę...”

Podchodząc do stoiska przywitała jego właścicielkę, Jolę.

- Masz dzisiaj coś ciekawego ? - Ewa spytała z nadzieją w głosie.

- Miałam, piękną pozytywkę z tajemniczą dedykacją, ale ubiegł cię mój stary klient. Mówiłam ci o nim, kiedy przyszedł do mnie po raz pierwszy. Jeszcze większy marzyciel od ciebie. - zaśmiała się Jolka, wskazując na stojącego do nich plecami mężczyznę. Kiedy odwrócił się, Ewa rozpoznała w nim kolegę z czasów szkolnych.

- Tomek? Co ty tu robisz? Słyszałam, że wyjechałeś do Anglii. - nie kryła zdziwienia.

- Wróciłem rok temu. A co z tobą? Zrobiłaś tę swoją karierę w mediach? A gdzie twój mąż, podobno wzięłaś ślub? Mieszkasz dalej we Wrocławiu?- Tomek zarzucał ja pytaniami, na które nie miała szans odpowiedzieć. Uśmiechnęła się bardziej do siebie niż do niego, myśląc, że może kiedyś z chęcią na nie odpowie...